



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

ROK SZKOLNY.

Każdy skończony rok szkolny—to epoka w historii rodzin, to przystanek w wychowawczej pracy rodziców. Każdy z nas wie, że praca to dla przyszłości, że potomstwo dzisiejszych rodziców, to w *potomności* żyjący ludzie i obywatele, przecież wrodzona rodzicom miłość dzieci zdaje się uczuciem dość silnem, aby wzięta sama w sobie, starczyła do wytworzenia w piersiach ojców i matek gorącej chęci możliwie najlepszego tych dzieci wychowania. Nie mniej ten, kto przy wywiązywaniu się z rodzicielskiego obowiązku, obok miłości dla dzieci nie traci nigdy z myśli względów powstających w każdej szlachetnej osobistości człowieka z dwóch najwyższych na ziemi ukochań: z miłości ludzkości, z miłości ogółu swojego—ten najlepiej, najdoskonalej te dzieci wychować może, bo ten dopiero chowa je w myśl skończenie pojętego ideału człowieczeństwa i rozwija istotę młodą w kierunku wszystkich wzniosłych i pięknych—świętych celów ludzkości.

Wtenczas to chowa się dziecko swoje do szczęścia i dobra, co ostatecznie może się nawet rozdzielić nie dając. Dziecko, stawszy się człowiekiem, nie będzie żyć zawsze w ścieśnionem kole rodzicielskiego otoczenia, w ścieśnionej sferze ich uczuć i pojęć o szczęściu. Dziecko to musi niejako oderwać się od nich, idąc swoją koleją życia w świat między ludzi, i czy mu tam będzie dobrze, jeżeli nie znajdzie w piersi swojej uczuć szlachetnych nieskazitelnej uczciwości i cnoty, jeżeli nie przedstawi współbraciom i towarzyszom życia godności ducha i czystości charakteru, niesplamionego brudem zabiegów o wziętki niemoralne? Choć

krąży pomiędzy ludźmi wiele ogólników pesymistycznych, które dowodzą, że najlepiej się dzieje ludziom lichym—że za to, co się ma w kieszeni, wszystko na świecie kupić sobie można, jednak żywe życie przeżytych tym ulotnym wyrazem złego humoru i podrażnionego uczucia. Czy, naprzykład, kupi kto szacunek ludzki, czy kto kupi sobie miłość społeczności swojej? Można poza tem posiadać wszystko inne, można mieć pełność dostatku wszelakiego; czy jednak przy braku tym bywa się spokojnym i zadowolonym—czy się ma szczęście? Blichtr honorów i wystawności, będąca przed ludźmi zyskanej fortuny i położenia swego parady wygoda, sytość dobrobytu, to jeszcze nie szczęście! Tym, którzy tego nie mają, a łakną: naturom próżnym i nisko zmysłowym, lub lekkim i powierzchownym, tak się to wydaje zdaleka. Biorą stan taki za szczęście, lub taką szczęścia bliskość, że według ich mniemania, nie najgorszym jeszcze losem jest płakać, skoro się ma czem oczy otrzeć. Ale są izy otrzeć się niedające, bo spływają w głąb serca i czynią zeń lżawnicę, w grobie żywej piersi ludzkiej pochowaną!

Jest tak na zaszczyt natury człowieka, że samym chlebem—samym materjalnem życia używaniem, prawidłowo i szczęśliwie wyżyć nie może, że w piersi jego istnieją wtedy wyrzuty sumienia, żale, smutki głębokie i niepokonane: że są w nim niengaszone niczem pragnienia szacunku swych bliźnich. Jak mówią, że ktoś, któremu członek jakiś odjęty został, doświadcza często jakoby w nim bólu dotkliwego, tak podobnie cierpimy po amputacji moralnej, po utracie godności i czystości serca, po niedopełnionym obowiązku człowieka zanego. Jest rzeczą ogólnie wiadomą, że nieraz ludzie w położeniu podobnem dostają obłędu, rozpijają się, kończą śmiercią samobójczą, ale wypadki te rzadsze i odosobnione, nie dają jeszcze dokładnej statystyki wszystkich cierpień skrytych, przez dbałość o zewnętrzne rzeczy decorum

w głębi siebie tłumionych. Jakże często ludzie z plamą na honorze garną się uparcie do towarzystwa czystych i uczciwych—jak często ci, co się sprzedali za pieniądze, poszukują usilnie ubogich, ale uczciwych dobrej sławy między ludźmi używających! Narażają się niejednokrotnie na przykrość, że odepchniętymi zostaną; zniżają się do pochlebstwa—dworacy fortuny dworują potem biednym i małuczkim wobec świata, byle tylko pokazać, że ci przecież jeszcze nimi nie gardzą, że ostatecznie nie złamano jeszcze nad nimi laski ostatniego wyroku—nie odsądzono ich ostatecznie od czci i wiary, a wszystko to czegoś dowodzi?

Że szczęście szerzej i głębiej pojęte nie da się oddzielić od dobra—przekonanie to tkwić powinno w myśli każdego wychowawcy i być przewodnią ideą edukacji. Naturalny instynkt, zatracający się jedynie w ludziach bardzo już przewrotnych, lub bardzo upadłych—naturalna, wrodzona człowiekowi idealność sprawia, że wszyscy rodzice, ci nawet, którzy zeszli sami na niski poziom moralności, pragną dla dzieci swoich takiego stanu myśli i uczuć, takiego wyrobienia się duchem, aby wyrosły na osobistości cnotliwe i szacunku ludzkiego godne. Ale ta chęć dobra powinna być poparta bezpośredniem o to staraniem, i jak nie spuszcza się na naturalny rozwój inteligencji dziecka, ale kształcimy jego rozum, rozszerzamy jego wiedzę, tak należy uczyć dziecko cnoty i pojęcia jego o moralności rozwijać. Że to przecież nie daje się otrzymać, jak nauka inna, przez lekcye z książki wyciążane, że do tego musi się przykładać nauka, przez żywe życie dawana i w żywym życiu praktykowana przez wychowawcę, więc i zbadanie jej postępów w duszy młodej nie może się odbyć jedynie przez pytania i odpowiedzi, jak przy egzaminie z innych przedmiotów edukacji.

A jednak examina moralne są potrzebne. Tak dla spokoju serca rodzicielskiego, jak dla dalsze-

go kierunku tej nauki nad naukami, należy je z dziećmi, z młodzieżą dorastającą odbywać. Szkoła uczynić tego nie może i sądzić musi po pewnej liczbie postępów, regulaminem swoim przepisanych. Ale mogą i powinni to czynić nauczyciele i przełożeni, w bezpośrednim zetknięciu z dziećmi będący—mogą i powinni czynić to rodzice, a nawet oni obowiązani są do tego szczególnie. Jak po przebyciu jednej klasy wykładów szkolnych, trzeba się dowiedzieć, czy uczeń korzystał z nich należycie, i czy jest zdolnym do posunięcia się dalej, na kurs nauk wyższy, tak przyjmując ten sam podział czasu, aby skorzystać z wakacji, w czasie których szkoła rodzicom dzieci ich zwraca, powinni oni przekonać się ze swojej strony: jakim jest u ich dziecka rozwój pojęć moralnych, jakim jest pojęcie tych skierowanie, i czy wogóle istnieją one w duchu młodej istoty?

Obowiązek to jest tak ojca, jak matki. Gdy dzieci ich po oddaleniu, które w stosunku do względów edukacyjnych, jest długim, wracają pod dach rodzinny, oko rodziców powinno wyteżać się na nie badawczo. Okazywane upodobania, wypowiedziane zdanie, takie a nie inne postępy—to odpowiedzi dziecka na pytanie, zadane przez rodziców nie tylko im, ale i sobie: jak ich dziecko myśli i czuje, w jaką stronę ideału etycznego duchem się skłania?

Rodzicom godzi się nawet co do wywoływania tych odpowiedzi plan ułożyć—ułożyć go tak, aby ani jedna ważna kwestya poglądów na świat i życie mimo przepuszczonej nie została. Obok pilnej uwagi, jak się ich dziecko względem ludzi i wypadków życia stawia, z jakim stopniem zapalał je jedno z nich przyjmuje, a drugiem odpór daje, potrzeba im jeszcze młodą duszę—serce i umysł młody tak sobie otworzyć, aby do dna zajrzeć mogli i w tym celu potrzebne są między rodzicami a dziećmi, starszymi i młodszymi, rozmowy, wręcz dotykające pojęć moralnych, dla ich wieku przystępnych. Niech to nie ma urzędowej formy egzaminu, ale niech to niemniej będzie egzaminem, i ściśle, odbytym jednak w poufnej, przyjaznej wymianie myśli między rodzicami, a dziećmi. Książka czytana, zdarzenie jakieś ze sfery bliższych lub dalszych interesów rodzinnych, lub społecznych, ludzie spotkani—wszystko to przedmioty, dające sposobność do rozmów takich, których przeprowadzanie z synem, lub córką, już z dzieciństwa wyszliśmy, a przechodzącymi w okres wieku młodocianego, jest niezbędnym obowiązkiem rodziców.

Rodzice, którzy tego nie czynią, którzy nie uczuwają troski o moralny stan ducha dzieci swoich, abdykują z najwyższego przywileju rodzicielskiej władzy i niech im potem oczy nie zalewają się łzami, niech im potem serca boleć nie targa, jeżeli pokolenie u ich łona wyrosło, następcom ich uczuciomyśli nie będzie. Nic na świecie darmo nie przychodzi: od nieba do piekła na wszystko zapracować potrzeba, i gdzie nie było wychowawczej staranności, tam nie może być i owoców, jakie wychowanie daje przez posiew moralny.

Gdzie go ze strony rodziców nie było, tam nie może być i zbioru—dla nich! Ktoś inny: świat, ludzi, jacy się obok tej zaniedbanej przez nich młodzieży znaleźli, sieli ziarno swoje i zeszło na ich użytek i pociechę.

Jest to prawda bardzo stara—stara jak świat i wychowanie, ale właśnie prawd starych zapomina się najwięcej dlatego, żeśmy je sobie, jako rzecz już bezsporną, do umysłu wzięli—i schowali w jedną z jego szufladek! Takich schowane, takich skarbonek na prawdy ceny dowiedzionej, a wartości najwyższej, ma każdy umysł mnóstwo, i dlatego na razie o nich nie pamięta. Co jest jeszcze w walce i starciu pojęć, to nam przed myślą wypukłej stoi, a o dobrych prawdach starych zapomina się—nie chcąc!... Niechże tak nie będzie z tą wielką i świętą, z tą zasadniczą prawdą rodzicielskiego obowiązku, że przed Bogiem i ludźmi, przed przyszłością, rodzice są odpowiedzialni za pokolenie, które z ich łona wyszedłszy, po nich żyć i dzieje tworzyć będzie.

Wiem też posługując się zmienioną według przedmiotu radą jeszcze Molière'a: — „Mówcie, mówcie, a zawsze coś z tego zostanie”—powtarzam przestroge: Pielęgnujcie duchy dzieci waszych! przekazujcie im ideały wasze, religią waszych uczuć i pojęć o Bogu i enocie—o obowiązkach człowieka i obywatela! To z powietrza nie spada, bo idee są wyrobem wieków, wiekowej pracy społeczeństwa i kierunków jego cywilizacji.

Ale należy to do elementarnych w pedagogice pojęć, aby ucząca się młodzież miała czas jakiś wypoczynku po pracy nauki szkolnej, i trzeba, aby to, co rodzice ze swej strony chcą umysłowi dzieci swych do wiadomości i uwagi podać, jako zaokrąglenia całokształtu edukacyjnego, dostawało im się w sposób doskonale swobodny, niemęczący. Są książki treści ważnej, do których godzi się literacki smak młodzieży zaprawić—książki dobre, które przed złemi strzegą, bo gdy raz umysł w szlachetnym kierunku zwróconym zostanie, gdy raz wykształcony na dobrych wzorach, estetyczne wyrobienie gustu otrzyma, już go liche brzydoty łatwe do siebie nie pociągną—już z niesmakiem od siebie je odrzuci. Młodzież, zwłaszcza umysłowo zdolniejsza, nigdy tak z wakacyjnej wolności korzystać nie zechce, aby książka zupełnie ze swobodnych jej zajęć wykasowana została. Otóż niech taki syn, taka córka zastaną za przybyciem do domu przygotowany dla nich zbiorek książek dobrych Piarsze klasycznej literatury swojej—to naturalnie na pierwszeństwo zasługujące czytanie. Ze względów na wypoczynek młodego umysłu, dzisiejsi pedagogowie ostrzegają rodziców bardzo usilnie, aby książka, na rekreacyą przeznaczona, nie była nigdy w języku obcym. Nietylko ten, kto za wiele chce objąć, źle ujmuje, ale zdźwigać się może bardzo szkodliwie dla zdrowia i powinni pamiętać o tem rodzice i nauczyciele, którzy dla wprawy językowej każą młodzieży nawet czytanie dla przyjemności odbywać we francuskim, niemieckim, lub angielskim języku. To, co niewinnem wyrażeniem „wprawy” pokrywają, jest pracą umysłu bynajmniej nie lekką, która nuży tak samo, jak każda inna lekcya nauki obcego języka, a w dodatku musi być taką jedynie lekcją lingwistyki, bo i w język się wprawiać, i iść za myślą autora—estetyczność jego formy odczuwać, pojęcia jego w umyśle sobie przerabiać—to praca trudna nawet nie dla młodocianego wieku.

Aby młody czytelnik mógł rzeczywiście korzystać z książki we właściwym znaczeniu tego słowa, we właściwym zakresie przeznaczenia tej książki, nie może ona być pisaną w języku, którego doskonale nie posiada—to nowoczesnej pedagogii prawo, nie dopuszczające restrykcji żadnej. Męcząc, nie się rzeczywiście nie osiąga, a wiele psuje—psuciem zaś jest tu już to, że się wychowanka uczy połowiczności, ślizgania się po wierzchu, a zła to lekcya moralna.

Poetów wielkich poznać jest, w edukacji nabytkiem nie tylko pod względem wiadomości, zdobytych przez wychowanka w jednym z działów literatury. Edukacya fantazyi weszła tak dziś w zakres pedagogii, jak edukacya wszelkiej innej władzy umysłu. James Sully, angielski pisarz pedagogiczny, poświęcił temu przedmiotowi traktat cały, w którym zwracając uwagę rodziców na fakt, że fantazyja jest jedną z władz umysłu, najpierw się w dziecku budząca, każe iść za tą wskazówką natury. Szło za nią instynktownie wychowanie najpierwotniejsze: wszędzie matka opowiadała dziecku bajki—rojenia dziewczęcej fantazyi ludów, bo lubiło ono te bajki, łaknęło ich nawet (jak dotąd łaknie), uspakajało się przy nich w płaczu, siedziało cicho godziny całe—ono, tak ruchliwe z usposobienia, z natchnienia natury, która mu każe młode członki gimnastykować. Ale i inna strona istoty młodej potrzebuje ćwiczenia—wrażeń, które rozwijający się umysł przerabiałaby na wyobrażenia. Jest tak niezmiennie w całym okresie kształcenia się i wyrabiania człowieka z dziecka na młodziana. Jak dziecko bawiąc się piaskiem, stawiając mosty i gmachy z patyczków, zyskuje przy tej robocie, bezcelowej napozór, wprawę ręki i tych

sił umysłu, które zowią się uwagą i zdolnością kombinowania, tak i domagająca się pokarmu siła fantazyi, wyobraźni dziecka przetwarza się w niem zwolna na twórczość: na władzę przedstawienia sobie przedmiotów nieistniejących, oblekania ich w formy realne, co potem staje się źródłem wielkich i śmiałych pomysłów—tworzy bohaterów i obdarza ludzkość sztuką.

Sully zwraca uwagę rodziców, że można złudzenia czarodziejskiej bajki w udoskonalonym systemacie wychowawczym zastąpić czemś innym—prawdą, która będzie mieć wobec młodego umysłu całą porywającą potęgę baśni o ziejających ogniem smokach i olbrzymach. Świat roślinny i zwierzęcy zawiera dla młodej ciekawości dość istot cudownych, choć rzeczywiście żyją na ziemi, a ludzkość ma i po wiek wieków mieć będzie olbrzymów. Są bohaterowie nie niżej od Prometeusza—jest historia, i tu angielski pedagog na podobieństwo naszego Edwarda Hückla, każe się zwracać rodzicom w dziedzinę dziejów i biografii pojedynczych, każe otwierać młodzieży skarby literatury nowoczesnej i starożytnej, poznawiać ją z wielkimi pisarzami, twórcami dzieł klasycznych, przy czem jednak kładzie zastrzeżenie pewne.

Nauka szkolna, literatura, poznawana z urywków, poezya używana na popisy—czyni z najwyższych piękności poetycznych proste ćwiczenia pamięci. Jeszcze sąd o zaletach estetycznych form poezyi, lub prozy wyższej, może tu odnieść korzyść niejaką, nigdy przecież fantazyja, wyobraźnia. Starożytni nie mylili się, kiedy biegunem poetów uczynili skrzydlatego rumaka: fantazyja, wyobraźnia muszą mieć też skrzydła. Powinno się kształcić fantazyją, aby człowiek miał ją jako lotną władzę umysłu, potrzebną mu do wszystkich wielkich i śmiałych czynów życia, do wyrobienia w sobie szlachetnej idealności, która podnosi go w życiu nad ciężką prozę powszedniości, ale należy użyć ku temu innego środka. Czytanie młodzieży swobodne—oto ten środek. „Fantazyją tę kształcić trzeba na najlepszych utworach poezyi epicznej i dramatycznej, na skresłonych tam charakterach, na akciji i sytuacjach tam przedstawionych”—pisze pedagog angielski, lecz to nakazane przez niego pozaszkolne obznajmianie młodzieży z wielkimi utworami poezyi, gdzie się pomieścić może?

Wakacje—oto chwila czasu najwłaściwsza i może jedyna, dziś zwłaszcza, gdy ogromna mnogość przedmiotów i ustawiczne z nich examina nie dają uczącemu się dość czasu na systematyczne czytanie poza książką szkolną. A niech rodzice nie lękają się przypadkiem, aby czytanie poetów, rozwijanie wyobraźni i fantazyi, czyniło ludzi mało praktycznymi! James Sully, podobnie jak nasz Libelt, dowodzi, że bez tych dwóch władz, człowiek nie może mieć żadnego wyższego polotu myśli, że nawet prosty zdrowy sąd o rzeczach, wymaga ich pomocy. „Sędzia nie wyda wyroku, póki sprawy nie zbada; fantazyja, to adwokat, który musi mu ją przedstawić.” Aby rzecz pojąć, trzeba ją siłą wyobraźni objąć, rozpatrzeć, i tej wyobraźni potęgą przerzucić się w położenie, które zrozumieć trzeba. Choć wie, że nie jeden nazwie to paradoxem, jednak dla takiego wprost praktycznego wyrabiania się do życia, żąda on kształcenia się młodzieży „na epicznej i dramatycznej poezyi”, wykazując, że jest to jedyny sposób takiego uzdalniania się umysłu, aby „umiał on ściągać sobie na pomoc wypadki dawnych doświadczeń, zdolnym był do szybko tworzonych hipotez, do upostaciowania swoich myśli—do bystrej i rozumnej obserwacji faktów.”—Libelt dowodził tegosamego.—Wyobrażam sobie, więc przewiduję, kombinuję, wyciągam wnioski i o skutkach wyrok jakiś wydać mogę!

(Dokończenie nastąpi).

ODPOWIEDZ.

„Kochałeś—by traćcie!... Jak tuman zwodniczy
Pierchały twych złudzeń nadzieje,
I serce ci fala zalewa gorczy,
Gdy wspomnisz minionych dni dzieje.

A jednak—byś wrócił do owej przeszłości,
Co pierś twą szarpała tak srodze;
Do złudnych uniesień, zawadnej miłości,
Do wierzeń gubionych po drodze.“ *)

O! jużbym nie wrócił do owej przeszłości
Co duszy świeciła tak jaśno!
Do owych porywów szalonej miłości.
Uniesień, co zbladłe dziś—gasną!..
Nie chciałbym już kochać by męki zawodów
I ciężkich prób przebyć tak wiele!
Nie chciałbym już drętwieć raz drugi od chłódów,
Co dreszczem przebiegły po ciele.
I marzyć, i czekać, i tęsknić bez miary,
Uludną nadzieją grzać serce.
Za nic-bym nie wrócił do młodych lat wiary
Co w świata zginęła szermiercel!
Mądrościm nie posiadł—a spokój straciłem:
Łódź moja bez steru się chwieje.
Goniłem za marą, bez wzięcia wróciłem,
Mijając po drodze nadzieje.
Zapóźno już dzisiaj—po trudach Golgoty
Powracać do szczęsnych dni życia;
Przy taczce wspominać ubiegły wiek złoty,
Rachować zgnękanym serc bicia.
Daremnie! daremnie!—niech cienie przysłonią
Uroki przeszłości—tak marne...
Oddalam od siebie—zaślaniam je dłonią.
By zakryć odchlani dno czarne.
Kto raz tam już spojrział, ten stracił na wieki,
Co zyskał wśród krwawych dni znoju.
Już do snu z marzeniem nie sklepi powieki
A siły mu zbraknie do boju.
Postawmy więc krzyża wzniesione ramiona
Niech słońca kamienie—nagrobku...
A u stóp nadziei strzaskane imiona
Niech świadczą o życia Dorobku.

KARTA Z PAMIĘTNIA POETY.

(Dalszy ciąg).

Kwiecień.

Miałem dosyć patrzenia na piękności widziałne, które dawały mi pojęcia, że się tak wyrażę stojące, nieruszające się z miejsca.

Pamięć miałem pełną, która szybko kombinując, ustawiła całe galerie nowych wyobrażeń. Moja pamięć była istnem muzeum, lecz wcale jeszcze nie uporządkowanym. Trzeba mi było jeszcze czegoś innego, tęskniłem za czemś kołyszącym, falującym, coby wprowadziło w ruch myśli moje, leżące prawie jeszcze bezwładnie. Mam dwa marzenia: chciałbym widzieć morze i wybuch wulkanu. Zdaje mi się, że morze uspokoiłoby mnie; rzuciłbym się w fale i poddał żywiołowi; co to jednak musi być za rozkosz, mieć tak bliską styczność z ogromem! czuć go pod ręką, dotykać go, zanurzać się w nim! W upodobaniach człowieka jest ciągle dążenie do łączności z bezmiarem, do zagłębiania się w czemś nieskończonym,—przecuciowe dążenie do nieśmiertelności.

Buchająca lawa wulkanu sprawiłaby mi nadzwyczajną przyjemność; chciałbym widzieć, jak

w naturze przynajmniej, wrócy w piersi ziemi materiał wydobywa się w świetnych połyskach nazewnątrz i ma całą siłę i wolność żywiołowego swego wybuchu. Myśl i uczucie człowieka, już raz wyrażone, zawsze tylko będą oderwanymi ogniwami wewnętrznego łańcucha, który ciągle się nawiązując, nigdy nie opada, kroplami tylko tej lawy, co pali nasze dusze bezustanku, bez wytchnienia, i ani na chwilę nie da być duchem wygasłym; ale odpoczynku nie ma, ani zupełnego wypowiedzenia swej głębi, swego stanu. Czy kto kiedy mógł wyrazić, jak bardzo cierpi, jak silnie kocha, jak czci głęboko, jak smutnie tęskni!

Do morza, do wulkanu daleko mi bardzo. Był wieczór, szedłem ulicą, bezwiednie prawie na przód, aż znalazłem się pod arkadami wspaniałego gmachu, co ma na frontonie grupę tygrysów kierowanych przez jakąś nimfę, czego sobie nigdy wytłumaczyć nie mogłem co to właściwie jest; wszedłem na schody, odchylałem ciężkie portiery, przesunąłem się koło zielonych palm, aż dostałem się do mego zwyczajnego miejsca wprost sceny.

Byłem w teatrze. Patrzyłem niecierpliwie na kurtynę, która zresztą jest także dziełem sztuki. Nie zajmowały mnie wcale te wesołe boginie i muzy Olimpu i słodkie twarzyczki geniuszków, jak róże z oczkami.

Naraz ściemniało—ucichło. Czekalem: co to będzie? Serce mi biło. Powoli, lekko, Olimp podniósł się do góry i zniknął. Tam przedemną było—morze.. Tam i napowrót kołysały się błękitnawo-zielone fale, rozbijając się z pluskiem o brzegi; oczerety i trawy szumiały na skalistych krawędziach, powietrze było mgliste, na chmurach niebie migająca, od chwili do chwili, czerwona błyskawica, jak róża przerzucana niewidzialną ręką. Cały ten obraz tonął i zlewał się w szerokiej melodii, przepelniającej powietrze, całą przestrzeń, a za każdym taktiem muzyka nabierała coraz głębszego oddechu, jakby nim nabrać chciała i odmierzyć nieskończone obszary. Słychać w niej było falujące morze, nadbrzeżne szmery roślin, echa skał, krzyk mewy, wycie wiatru, łoskot wodnej burzy, nawoływania żeglarzy, trzask masztu, szamotanie żagli, a w tym odmgocie gromy, od chwili do chwili, drżące oderwane tony rybackiej piosenki unoszącej się nad huraganem burzy, nocy i ciemności. Morze grało! To była harmonia żywiołu, muzyka oceanu, głos zuchwałego a pięknego ogromu—to był—Wagner! Słuchałem, słuchałem, topiłem się w słuchaniu; zamknąłem oczy i słuchałem.. Tony wzbierały, skupiały się w fale wielkie i uderzały jedne o drugie; rozbite, łączyły się znów, rosły, tworząc burzliwe Charybdy, a potem zwolna rozlewały się szeroko; jak powódź, łagodnie, miękko zajmując dawne miejsca, jakby nigdy nie...

Czasem ton jeden biegł powierzchnią tego wylewu i migał to tu, to tam, piał się z jednej fali na drugą, aż dostał się na dominujące miejsca i dopiero tam gasnął na wysokościach „nieskończonej melodii.“ Potem naraz pojawiał się znów gdzieś u brzegu, znów cichy, lekki, drobny, jakby pierwotny, i znów rozpoczynał swą drogę wśród splecionych głosów, dążąc do ostatniej granicy, gdzie urywał się jak wyczerpany oddech.

Słuchałem... słuchałem... Naraz morze zawrzało; otworzyłem oczy. Okręt „Żeglującego Holendra“, owinięty czarną flagą mignął w oddali i pędzony wiałem wpadł do przystani z okrzykiem: hoho—je! hoho!—Werda?—zapytano od brzegu innym motywem, z okrętu odpowiedziano smętnym tematem, co dźwięczał w morskiej burzy. Wśród mroku, wśród cichnącej melodii, układającego się morza, stanął na wybrzeżu fatalny żeglarz, ścigany karą, pragnący zbawienia, wierzący co lat siedm dziewczynie i zdradzany co lat siedm i znów szukający wiary „aż do śmierci“, któraby go z więzów rzuconego czaru wyzwoliła. Muzyka ucichła, oczerety znów szumiały delikatnym ruchem i głos męzki, niski, silny, pełny, wzruszony zaczął swój pierwszy śpiew:—„Pokuta minęła...“—O, szczęśliwy, szepnąłem. Po bolesnem rozbijaniu się wśród morza znalazłeś wreszcie przystań spokoju; a ja, żeglujący po oceanie mojego milczenia kiedyż po-

witam poezją, która mnie już nie zdradzi, nie opuści już w najsmutniejszym wygnaniu samotności? Kiedyż minie dla mnie pokuta, ciężąca z pewnością nie bez winy, ale bardzo już długo, o Boże!”

Byłem głęboko wstrząśniony. Takiej muzyki nie słyszałem jeszcze w życiu, i mimowoli uśmiechnąć się musiałem, przypomniałszy sobie owe cudaczne zdania, słyszane po tylekroć od ludzi, co czując, czy nie czując, słysząc, czy nie słysząc, wygłaszali niestworzone rzeczy o wielkim twórcy Nibelungów. Owo efektowne wyrażenie Hanslika: „muzyka przyszłości“ należy do tych wielu frazesów, co ni ztąd, ni zowąd, nabiorą prawa bezpodstawnego obywatelstwa. Łatwe do powtórzenia, łatwe do pamiętania swym efektem udającym trafność. O nie! w tej muzyce tętni życie obecnego wieku, niespokojne, rozkołysane różnemi dążeniami, szukające sobie gwałtownie, prawie rozpaczliwie, celu, jak ów ton główny, co podnosi się z namiętą tęsknotą ku górze, i wiruje, i wraca, kręci się i jakby szukał spoczynku, a znaleźć go nie może. Jest to muzyka filozoficzna, jakby badająca samą siebie. Co krok motyw wraca, śledzi swą drogę, idzie dalej, i cofa się jakby dobrze wytknął i wybić chciał śladu pochodzącego swego, potem rzuca się naprzód ze wszystkimi razem falami tonów, jak burza prowadzona piorunem do walki. Myśl dążąca do postępu, do wolności, do wielkich prawd wie-dzy jest niespokojnym motywem naszego wieku, mącącem być może nieraz jego harmonią, wierzącym go ciągle nawskros, ale jest głównym, jasnym tonem, który na wysokościach nieskończonej idei wytchnienia dla siebie szuka i w końcu znajduje. I komu nie obojętne są gwałtowne wiry teraźniejszości, kto czuje nad sobą bicie skrzydeł lejących godzin, kto słyszy zdyszany oddech ludzkiego tłumu, ten znajdzie w muzyce „Wagnera dobroczynną ulgę, jakiej się zawsze po wypowiedzeniu tajemniczych swych pragnień doznaje. Wagner z muzyki uczynił rodzaj żywiołu, od którego bije świeżość i moc i pełne, czynne, gorące życie. Poezja potrzebuje nieraz, aby do niej umysły dojrzały, ale muzyka, której polem jest właśnie ulatująca chwila, teraźniejszość, niech odczuta będzie wtedy, kiedy wrzmi, kiedy śpiewa, porywa, bo kiedyś później, przyszłość już coś nowego, własnego, mieć będzie dla siebie.

Grało mi w duszy. Wybiegłem z teatru; odczłamałem świeżem powietrzem nocy i byłem tak rozezaltowany, że zawołałem głośno: Ave Wagner!

„Ou! ein heisser Wagnerianer!“—odezwał się za mną jakiś Niemczyk. Chciałem się odwrócić i powiedzieć mu, że jest—Kultur-trägerem, tak mnie zirytował jego złośliwy akcent, ale co mi tam! poszedłem dalej. Biegłem szybko, czując, jak dusza moja chce lecieć, jak usiłuje rozwinąć skrzydła i stać się choćby najmniejszym, choćby najcichszym tonem w wielkiej jakiej harmonii i dążyć za jej motywem, coby i mnie z całą falą ludzkości do duchowego zadosęcczynienia pociągnął. Opanowywało mnie uczucie lekkoci, swobody; cieszyłem się nie wiedzieć czem, myśli trzepotały się, jak żagle na wietrze, szumiąc mi ciągle te słowa: „Pokuta minęła“...

(Dalszy ciąg nastąpi).

BOŻY GNIEW

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

To mówiąc, dał znak głową i pożegnał nim Radziejowską, która jechała dalej. Podkanclerzy,

*) Dorobek, Patra *Bluszczu* N 13.

choć dalej stał, ale kolebki żony z oka nie spuszczał i zarumieniał się, widząc, że król się do niej zbliżył, ale pozostał w swym miejscu.

Nie przepuścił jednak królowi, i tegoż dnia przyciął mu, że go widział rozmawiającego z jejmością. Słowa były grzeczne, ale uśmiech i wyraz twarzy szyderski i cyniczny. Jan Kazimierz mu na to odparł, iż wistocie wymawiał podkanclerzynie, że mężowi towarzyszyła, gdy lepiej dla niej było do Warszawy powrócić.

— Mówiła mi, żeś wpał tego sobie życzył sam, czemu się dziwię.

To rzekłszy, król się odwrócił od niego i poszedł rozmawiać z kapelanem.

Radziejowski stał potem, czekając, bo chciał coś jeszcze dodać, ale król się tak zrećźnie mu wyslizgał i innymi zasłaniał, że już dostąpić do niego nie mógł.

Pomścił się za to w gospodzie, powróciwszy do żony, ale ta mu długo też nie dała mówić, i porzuciwszy go, wyszła do sypialni.

Był to dopiero tej podróży początek.

II.

Król ze swemi sześciu tysiącami posuwał się dalej ku Sokalowi, gdzie równocześnie z nim stawić się miał stary hetman Potocki na czele siedmiu tysięcy. Tamże inne pułki panów senatorów, królowi na wyprawę ofiarowane nadciągać miały. Dotychczas wszystko szło i obiecywało się jaknajpomyślniej. Król był dobrej myśli i nieznużony na koniu ciągle z wojskowymi w rozmowie poufalej. Z innymi też duchownymi i świeckimi towarzyszami mu nadzwyczaj uprzejmy, surowszym się stawał tylko, gdy szło o utrzymanie w wojsku porządku, i o najmniejszych zaszłych dnia każdego wypadkach donosić sobie kazał. Postrzegano też, że nawet, gdy najweselszym i najrozmówniejszym był, zobaczwszy zbliżającego się podkanclerzego zasępiał się, odwracał, unikał z nim spotkania, a przymuszony natręctwem jego, zbywał go niecierpliwie.

Było to tak uderzającym, że nietylko inni, ale i sam Radziejowski poznać się na tem musiał, chociaż udawał, że nierozumie. Nie mając na kim, mścił się za to na żonie, przed którą na króla wymyślał, wiedząc, że ona bronić go będzie, z czego codzień rosły nieznośne poswarki między nimi. Najczęściej zapłakana i zagniewana, podkanclerzyna odchodziła i zamykała się od męża, ale ten ją ściagał i odprawić się nie dawał.

Oprócz tego codzień listy wyprawiając razem z królewskimi kresami do Warszawy, podkanclerzy coraz ostrzej przeciwko królowi się w nich rozpisywał, w ten sposób, aby Maryą Ludwikę zniechęcić i pogńiewać.

W pierwszych zaraz powtarzał, jakoby powszechnie w obozie znane wyrażenie króla, który po rozstaniu się w Krasnymstawie miał publicznie się odzywać, że, chwala Bogu, pozbywszy się jejmości, teraz dopiero swobodnie będzie się mógł obracać i t. p.

Oprócz tego donosił Radziejowski, że wszystko to, co doradzała królowa, było teraz zaniebdane i wysmiane, że wcale jej w rozmowach swych Jan Kazimierz nie oszczędzał, narzekał na jej natrętne rady i chęć mieszania się do spraw, których nie rozumiała.

Raz na drogę tych zwierzeń wszedłszy, podkanclerzy coraz gwałtowniej nastawał, dodając, że król w prowadzeniu wojska dawał dowody swej nieudolności i nieznajomości rzeczy, że zniechęcał rycerstwo, że się to na zbyt okrutnym okazywał, to do zbytku pobłażającym. Zwrótką tych wszystkich listów było pochlebne dla królowej ubolewanie nad tem, że się oddała, a król, zdrowych jej rad pozbawiony, mógł łatwo na największe rzeczpospolitą narazić niebezpieczeństwo. Nie było najmniejszej czynności i rozporządzenia króla, którychby Radziejowski nie wyzyskał w tych doniesieniach, porzucając od obwieszonego szpiega, aż do ustano-

wionych sądów i zaprowadzonej większej w wojsku karności.

Listy te codziennie oddawał podkanclerzy do kancelaryi królewskiej, a ta je wraz z innemi do Warszawy kresami odprawiała, gdyż i król każdego wieczora dla królowej doniesienia dyktował, a niekiedy własnoręczne w nich przycisłki dokładał.

Nie mając nikogo oprócz żony przed kimby te swoje żale mógł się wylewać, Radziejowski męczył niemi żonę, resztę w listach do królowej mieszcząc.

W pochodzie z każdym dniem król się od niego więcej odstręczał i odsuwał, im on napastliwiej się narzucał, i stosunek, który nigdy przyjaźnym nie był, pogorszył się znacznie.

Jan Kazimierz tak był natrętnością podkanclerzego znużony i rozdrażniony, iż się w końcu z nią nie ukrywał przed dworem i komornicy nawet, a pokojowcy wiedzieli, że gdy mogli Radziejowskiemu do króla drogę zaprzec, był im za to wdzięcznym.

Uroczyscie i wspaniale odbyło się połączenie pod Sokalem dwóch wojsk pod wodzą króla i sędziwego hetmana Potockiego.

Wiedzano już o przybywaniu Jana Kazimierza i regimenta Potockiego w szeregach, w świątecznych strojach, w najwspanialszych rzedach, z kotłami i trębami oczekiwały na pana...

Królewskie pułki, na których czele on sam we zbroi i szyszaku od Papieża przysłanym jechał, występowały też paradnie. Ogromną przestrzeń nad brzegiem Bugu zajęły te dwa oddziały, a widok ich był serca zagrzewający.

Dopieroż gdy stary, trudami i niewolą złamany hetman zbliżył się do króla, a ten go ze łzami witać począł, gdy chorągwie się pochyliły przed panem, muzyki odezwały, a z piersi tych tysięcy wyrwały okrzyki, wszyscy byli tak wzruszeni, iż o nieprzyjacieli i grożących niebezpieczeństwach zapomniano.

Król z wielką radością na twarzy, mając u boku swego Potockiego, natychmiast pojechał od chorągwi, zatrzymując się przed każdą, chwając, zagrzewając, rozmawiając z dowódcami.

Cały ten dzień zszedł niemal na lustracyach, a potem na przyjęciu Potockiego i na wojennych naradach. Nigdy króla tak ożywionym i wesołym nie widywano, jak teraz.

Prawda, że połączone siły te, chociaż liczbą nie były znaczne, doboorem, pięknocią, porządkiem się odznaczały, a składały się w znaczniejszej części ze starego, wytrawnego żołnierza, dla którego walka była chlebem powszednim i pożądanym trudem.

Obóz ten, w którym istotnie nie liczyło się nawet czterestu tysięcy ludzi, na pierwszy rzut oka nierównie znaczniejszą liczbę obiecywał, gdyż tabory dowódców, towarzyszących, starszyzny drugie tyle miejsca co wojsko same zajmowały.

Gdy się to wszystko rozłożyło i pozajmowało powitykane sobie miejsca, jak okiem zajrzeć widać tylko było namioty, chorągwie, szalasy, wozy i tabory. Legło to pod miasteczkiem, w którym królowi w klasztorze mieszkanie opatrzone.

Podkanclerzy też postarał się o to, aby w niewielkim oddaleniu od niego mógł się z żoną pomieścić.

On także spodziewał się królowi miłą uczynić niespodziankę, na którą rachował — i czekał na rajtaryą swoją, mając ją tu ofiarować j. król. m. Niewiele ona go kosztowała, oprócz ludzi, bo cekausz bardzo zapaśny po Kazanowskim, oręza doskonałego i wszelkich przyborów dostarczył.

Z królem bardzo na zimno ciągle, rozdrażniony przeciwko niemu. Radziejowski, co gorzej, napróżno sobie szukał sprzymierzeńców i sojuszników. Dębickiego tu nie było, kilku innych warcholów sejmikowych brakło, a p.p. senatorowie tu znajdujący się, widząc, jak król od niego unikał, także się usuwali od poufalszych stosunków. Nie pozostawało podkanclerzemu nic nad szukanie towarzystwa pomiędzy wojskowymi, których zapraszał, karmił, poił — i ostrożnie ich starał się przeciw królowi nastrajać.

Najsmutniejsze było życie podkanclerzyny, która żalować zaczynała, że się dała mężowi pocią-

gnąć w tę podróż, nierozumiejąc jej celu. Po całych dniach zmuszona była siedzieć sama ze swą ochmistrzynią i sługami w gospodzie, albo modlić się w kościele lub oknem się przypatrywać w rynku ciągle ukazującym różnej broni i chorągwi wojskowym, z obozu i do obozu przeciągającym.

Radziejowski rzadko zrana przychodził i nie jadał w domu z żoną. Gości swych przyjmował naprzeciwko, a późno w noc rozstając się z nimi, najczęściej do mieszkania wracał, gdy już żona oddawna się udała na spoczynek.

Jeżeli przyszedł czasem wieczorem, to jakby naumyślnie, aby podkanclerzynę dręczyć, wysmiewając króla i naigrawając się z jej obrony.

Zawsze prawie przychodziło w końcu do scen takich, iż biednej ofierze nie pozostawało nic tylko płacząc uchodzić i zamykać się. Nie zawsze jednak dawała się tak łatwo zwyciężyć Radziejowska. Wybuchła niekiedy tak ostro i z tak dotkliwymi wyrzutami, że on w passyę wpadał.

Życie to było męczeńskie. Dwa, trzy dni nie widywał się czasem wcale, potem rozmysliwszy się, podkanclerzy przychodził rozpoczynając nanowu swoje wysmiewanie się z króla i t. d.

Listy wyprawiał coraz ostrzejsze codzień, a na nie całą swą wysilał przewrotność, starając się króla wystawić, jaknajnieudolniejszym, a wiarę w jego przywiązanie do królowej zachwiać i małżeństwo poróżnić. Skutek był tak widoczny: że król w listach żony poczuł zaraz wpływ jakichś doniesień nieprzyjazznych.

Lecz tyle było codzień do czynienia, iż Jan Kazimierz musiał tłómaczenie się na później odłożyć. Zaraz drugiego dnia po przybyciu do Sokala nadeszły wiadomości, że Chmielnicki z siłami głównymi szedł na Dubno i Olykę. Spodziewano się, że warowne dosyć dwa zamczki te, choć załogi miały niewiele, obronić się potrafią.

Radzono, jak iść dalej i gdzie Kozaków szukać lub czekać na nich. Tymczasem codzień prawie jeńców im zabranych przyprowadzano królowi, a co najmilszem mu było, że kilku ich przystawił kozak, Zabuski, który się przerzucił do wojsk wiernych i teraz skutecznie bardzo napadał Chmiela.

Wkrótce potem ks. Dymitr Wiśniowiecki chorągiew przyprowadził, Lanckoroński pułk cały, przyczem Jan Kazimierz znowu obóz objeżdżał, lustrował i sprawy wojskowe sam załatwiał, bo na nich nigdy nie zbywało.

Wzorem Zabuskiego, zjawił się potem niejaki Bohdaszko kozak, przyrzekając, że pułków kilka od Chmiela oderwie i królowi przyprowadzi. Przyjęto go mile, lecz później się okazał zdrajcą, który tylko wypatrzyć chciał, co się w obozie działo i Zabuskiego próbować.

Hetman Kalinowski także wtym czasie zpod Kamieńca z wojskiem przyszedł się z królem połączyć, ale liczbę przyprowadził mniejszą, bo chorągwie przez poniesione straty były znacznie uszczuplone. Przez cały ten czas król był nieustannie czynny, oglądając przybywające ciągle pułki nowe, stanowiąc sądy, zajmując się najdrobniejszymi szczegółami, w czem mu teraz oba hetmanowie ciąglą byli pomocą.

Chorągwie nowe nieustannie nadchodziły; osmnaście ich przyprowadzili Lubomirscy, pułk rajtarów kanclerz Radziwiłł, kasztelan bełzki piechoty oddział, trzy chorągwie kozackie Wiśniowiecki, szlachta nawet mniej zamożna, a w końcu i Elektor Brandeburski sto koni.

Radziejowski musiał także ze swoją obiecaną zdawna rajtaryą pośpieszyć i sam ją z wielką pompą przed króla przyprowadził, która, że istotnie bardzo doborną i doskonale uzbrojoną była, Jan Kazimierz, chociaż go znieść nie mógł, czując w nim wroga, okazał mu twarz wdzięczną i w słowach bardzo pochlebnych, za gorliwość w usłudze Rzeczypospolitej podziękował.

Nie zaspokoilo to wcale pyszałka, któremu wszystkiego tego było zamało, ani go skłoniło ku królowi, i listy do Maryi Ludwiki płynęły tak pełne zaskarżeń, jak wprzód.

Najwięcej zaś w nich na to nalegał Radziejowski, iż król niewdzięcznością się żonie wypła-

cał, lekceważąco wyrażając się o niej, z rad jej się wysmiewając i t. p.

Musiałoby to w końcu oddziaływać tak silnie w Warszawie, że kresy ztąd przychodzące listy od Maryi Ludwiki całkiem przynosić przestały.

W początkach jednak król, tyle mając zajęcia na głowie, nie postrzegł ich braku.

Ciągle prawie przyprowadzano jeńców pochwypanych i słuchano ich doniesień o ruchach Chmielnickiego, o którym w końcu przyszła wiadomość, że, Zborów minawszy, ku Sokalowi ciągnął. Przestrzegał też moldawski posłaniec od hospodara, żeby się od Tatarów na baczności miano.

Siłę Chmiela zbiegli od niego liczyli na tysiące czterdziestki, a drugie tyle chłopstwa gwałtem spędzonego, za którym jeszcze pułków kilka w odwodzie pilnowało, aby się nie rozbiegało.

W końcu już dzień w dzień tyle Kozactwa polapanego przyprowadzano, iż wątpić nie było można, że rychło się z Chmielem spotkać przyjdzie, król rozkazał obwołać i otrąbić, aby wszystko było w gotowości do wymarszu.

Lecz, nim się jeszcze z Sokala wybrano, zaśły wypadki, które położenie podkancelerzego zmieniły i króla zraziły od niego nazawsze.

Codziennie przychodziły, jak mówiliśmy, listy z Warszawy do króla i z tych szły do królowej. Ostatnie Maryi Ludwiki już nie listami były, ale suchymi notatkami, w ostatku kresy zaczęły przywozić tylko pisma prymasa, wiadomości urzędowe, królowa całkowicie pisać zaprzestała.

Po kilku dniach tego niepojętego milczenia Jan Kazimierz począł najpierw być niespokojnym o jej zdrowie, a gdy się dowiedział z innych korespondencji, że wcale chorą nie była, wpadł na myśl, że coś Maryą Ludwikę musiało zniechęcić i zrazić.

Trudno było dosledzić, co to być mogło. Wtem wysłany w pierw z listami Tyzenhauz wrócił z Warszawy, król go we cztery oczy pytać zaczął.

— Cóż się tam dzieje, nie mam żadnego listu od królowej? Nie słyszałeś, nie wiesz co?

— Boję się powtarzać — odparł Tyzenhauz — bo plotki być mogą.

— Ale mów! — naglił król — mów śmiało, włos ci z głowy nie spadnie.

— To wszystko sprawa podkancelerzego — począł Tyzenhauz — on codziennie rapporta posyła o tem, co się tu dzieje i umyślnie zniechęca N. Panią. Przynajmniej Francuzi o tych listach i dyaryuszu wiele między sobą rozmawiają.

Jan Kazimierz zamknął.

Przywołano jednego z pisarzy od kancelaryi. Ten, spytany, zeznał, że Radziejowski codziennie regularnie listy grube wyprawiał, albo do królowej, wprost lub do sekretarza jej, Desnoyers, adresowane.

Oczekiwany list królowej nie doszedł i dnia tego, natomiast od Desnoyers był duży pakiet do Radziejowskiego.

Nazajutrz rano kazał sobie król podkancelerzego listy do Warszawy pokazać. Był dnia tego jeden tylko, ale pod adresem królowej.

Gniewny, zresztą czasu wojny nie bardzo zważający na zachowanie tajemnicy pieczęci, król zaniósł go do sypialni i otworzył...

Czytając osłupiał z podziwu i oburzenia. Radziejowski stopniami doszedł był do tego, że wprost się z króla naigrawał, przedstawiał go przed Maryą Ludwiką jako zupełnie nieudolnego, przepowiadał klęskę, krytykował plany — słowem: poniżał Jana Kazimierza, a w dodatku uczucia jego względem królowej malował w najgorszym świetle, wyrzucając mu płochosć, skarżąc się, że i teraz żonie jego pokoju nie dawał załatami — co fałszem było.

Pismo to starczyło, aby wytlómaczyć milczenie i gniew Maryi Ludwiki.

Odczytawszy je raz i drugi — król zawołał: — A! nikczemna żmija!

Chodził potem po sypialni, namyslał się — kazał prosić kanclerza do siebie. Gdy przybył ks. Leszczyński, król zrazu nie mógł się zdobyć na skargę i zwierzenie się, wreszcie, wydobył list, szepnął coś kanclerzowi na ucho i dodał: — Czytaj.

W twarzy biskupa można było widzieć przeżalenie, jakim go przejęło pismo, którego cha-

rakter był mu znany; nie mógł dokończyć i spojrział na króla, który stał z rękami na piersiach złożonemi.

— Wiecie teraz, dlaczego królowa do mnie pisać przestała — rzekł król — a ja tu tego człowieka w obozie, przy sobie trzymać jestem zmuszony! — i na każdą radę ma przystęp z urzędu. tajemnic dla niego niema!

Biskup myślał długo, trzymał list w ręku, nie wiedział co radzić, czytał go, odczytywał, chciałby był coś znaleźć na obronę.

— Ścierpieć tego nie mogę — odezwał się król — uczynicie mu wymówki, ale nie potrzebujecie listu pokładać, chyba w ostateczności. Czułem go nieprzyjacielem, alem nie posądział o tak nikczemną zdradę. Teraz, gdy wszystko odkryte, niech wie i niech mi się nie narzuca...

Z wielką boleścią król się skarżyć począł, a uprzedzając podejrzenia, dodał zwracając się do Leszczyńskiego.

— Posądzaj mnie o zaloty do żony, co nikczemną jest potwarzą. Biednej kobiety los mnie obchodzi, bo byłem i jestem jej opiekunem. Więc to chyba zemsta za te imaginacyjne miłości o których wcale nie myślę...

Biskup powrócił, mając przy sobie list podkancelerzego, najpierw do kancelaryi, a ztąd zaraz do klasztoru, gdzie stał, będąc pewnym, że Radziejowski wedle zwyczaju zaraz go odwiedzi. bo rad był pod pozorem wyręczenia Leszczyńskiego wszędzie się wśliznąć i wszystko ogarnąć.

Jakoż nie upłynęła godzina, wpadł naderesołego humoru, śmiejący się, ożywiony i aż nadto względem starca i duchownego poufały podkancelerzy.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ŻYCIE STUDENTEK PARYŻKICH.

List, który poniżej podajemy, ciekawy jest jako rys charakterystyczny. Co to jest istnienie studentki, gdy nie posiada środków dostatecznych utrzymania się w mieście, do którego przybyła, szukając nauki, — wiemy wszyscy. Mieści się on pod strychem, po kilku w jednej izdebce poddasza, daje lekcye dla zdobycia grosza, czyli twardo się wyrabia do życia, ale ma siłę mężką, fizyczny jego ustrój jest wytrzymalszym a ludzie twierdzą, że jest tak i z organizmem moralnym. Samo uczucie posiadanej siły już go podtrzymuje, ale jakże trudno jest wyobrazić sobie młodą dziewczynę w warunkach podobnych! List, który mamy przed sobą, pisze paryżka studentka z wydziału sztuk pięknych. Zanim przybyła do Paryża, aby się kształcić na malarke, przez lat trzy dawała lekcye rysunków i zebrawszy sobie w ten sposób sumkę pewną puściła się z nią do Francji. Ta więc wypróbowała się już należycie, że pracować potrafi, że potrafi grosz ścisnąć, bo wiedziała, co to jest zarobić na niego, zatem posiadała już to *świadełstwo dojrzałości*, konieczne, aby kobieta mogła bez szkody i niebezpieczeństw najwyższych, puścić się na życie samotne, zwłaszcza na obczyźnie. W kraju, choćby się przybyło do miasta z najdalszego i najbardziej zapadłego kąta, zawsze da się znaleźć kogoś, jako tako znajomego, choćby tylko znajomych naszych, ktoś będący z tych samych co my stron, ale gdy się raz granicę swoje przebędzie, już wszystko jest nam obce i osoba nasza jest w tym samym stosunku wszystkim obcą. Szczególniej młodą kobietę samotną podejrzewają ludzie zaraz, że to awanturnica jest, a w najlepszym razie obojętni są dla niej najzupełniej — przyjechała z końca świata, niechże radzi sama sobie. Korespondentka posiadała pewne o Paryżu informacje i mówiła dobrze po francuzku. Czy choć na początek mogła się zwrócić do kogo ze znajomych? — nie pisze. Zamieszkała w małym, niekosztownym, a czystym hoteliku przy Rue Jean Bart; było jej tam bardzo wygodnie, ale życie okazało się tu za drogiem na jej środki. Za ładny pokój ze świa-

łem, opalem i usługą płaćła 75 frank. miesięcznie. Śniadanie: kawa i chleb z masłem, kosztowało ją 75 cent.; obiad z winem 2 franki 25 cent., a że drugie śniadanie, jadane na mieście, kosztowało 1 fr. — razem utrzymanie dzienne wynosiło 4 fr., a tyle wydawać nie mogła, chcąc dotrwać do końca studiów o groszu przywiezionym z domu. Więc trzeba było rozstać się z drugim śniadaniem, ale od rannej kawy do późnego obiadu między szóstą a siódmą godziną wieczorem, wytrzymać trudno, więc trzeba było koniecznie skomponować coś do jedzenia i poczęła robić sobie w południe na maszynie wodziankę, następnie, gdy to nie bardzo smakowało, oszczędziła zawsze trochę kawy z porannego śniadania, do czego dodawała chleb z masłem z własnej już szpiarki, a obok przygrzanej kawy, gotowała sobie dwa duże, piękne jajka „wybornie smakujące.“

Ale te oszczędności nie były jeszcze dostateczne, że przecież już się teraz poznała lepiej z Paryżem i porobiła znajomości, przeniosła się do tańszego hotelu przy Rue Madame, gdzie mieszkaly inne studentki, i tam najęła sobie już na poddaszu pokój za 20 franków miesięcznie. Że zaś nie wymagano tu, aby mieszkańcy hotelu stołowali się na miejscu, więc ona i jej znajome gotowały sobie same kawę na śniadanie, albo piły ją, idąc na lekcye, w mleczarni „crémierie“ gdzie była tańsza. Tam też jadały drugie śniadanie mięsne, za to nie było już obiadu; kollacyą gotowały sobie same na maszynie naftowej. Czasem bywał to kotlet wieprzowy, który się kupował już wyrobiony i smażył na małej patelce, a potem piło się herbatę, czasem poprzesławano na jajach i herbacie z chlebem i serem lub masłem. Było to o wiele taniej, lecz taki układ życia nie okazał się ani wygodnym, ale ze względu na pożywienie — dość higienicznym. Można było przebyć w ten sposób kilka tygodni, ale nie dwa lata, jak zamierzała sobie — trzeba też było pomyśleć o innem jeszcze urządzeniu się już na stałe. Więc postanowiła sobie nająć pomieszknię prywatne z kuchenką, gdzieby można było gospodarować jak się należy. Łączyły się z nią w tem przedsięwzięciu jeszcze dwie towarzyszki, Angielki: jedna koleżanka z wydziału sztuk pięknych, druga studentka z wydziału historyczno literackiego; złożone razem fundusze pozwalały na życie wygodniejsze bez podwyższenia wydatku. Postanowiono umieścić się w dzielnicy Luxemburga i ona poczęła szukać tam mieszkania, ale niejednym dzień trzeba było poświęcić uciążliwemu drapaniu się na wschody, gdyż i teraz zamierzano wzorem ptaków lokować się najwyżej, jak można. Nareszcie dobito do portu. W ładnym, niezacieśnionym domu znaleziono i najęto mieszkanie złożone z saloniku, dwóch pokoi, i kuchni, na szóstym piętrze, za sumą 600 fr. rocznie. Trzeba było przebyć 125 wschodów, ale za to miano wyborne powietrze i pyszny widok na cały Paryż, a w dodatku obfitość dobrej wody, nie z Sekwany, ale z artestyjskiej studni, więc zdrowej i smacznej do picia. Zrobiono kontrakt roczny; gospodarz, bardzo przyzwoity, niemłody już człowiek, mieszkał zaraz w drugim domu, a tak go zainteresowało to gospodarstwo studentek, że nie spuszczał się na swego *conciérge* sam pomieszknię obejrzał, aby wszystkie żądane reperacye i dogodności były porządnie dokonane. Umiał po angielsku i przyjemnie mu było porozmawiać tym językiem. Polaków też znał dużo, ale jeszcze z dawnej emigracyi.

Kupiono trochę najkonieczniejszych sprzętów, Angielki miały swoją pościel, łóżka zaś nabyły bardzo tanio od koleżanek, wracających do kraju. Korespondentka mianuje te dwie towarzyszki swoje: N I, N II, sobie daje nazwę N III. Otóż N III nie miała wcale łóżka. Trzeba było i tak kupić „un sommier“, to jest miejsce siennika zastępujący materac z sanych sprężyn, i drugi zwykły, poduszkowy. Dla oszczędności nie był on z włosa, ale z trawy morskiej, przecież właścicielka uważała go za rozkosznie wygodny. To że spała na własnej pościeli, już ją cieszyło niezmiernie, a ta pościel stała bywała na dzień kształtem sofy w saloniku. Dwa pokoiki pobok zajmowały Angielki.

Posiadano maszynkę naftową, kilka własnych filiżanek i łyżeczek, kilka talerzy, ale resztę od nakrycia stołowego do rozmaitych naczyń kuchennych i domowych trzeba było kupować, czem N III bardzo czynnie się zajmowała. Podaje skrupulatnie koszt każdej rzeczy, co razem wyniosło przeszło 70 franków, bo kupowano gdzie najtaniej, zbiegając Paryż z końca w koniec. Czuć w piszącej wielką i prawie dumną radość ze *swego domu*; dbano też bardzo o pewną elegancją i pozór rzeczy estetycznej: z kufrów podróżnych ustawiono „*tables de toilettes*,” i pokryto kartunem w kwiaty, było też kilka szaf w murze i „mnóstwo półek,” oraz wieszadeł, więc można się było pysznie urządzać. N II i N III rozwiesiły na ścianach różne „*Jadne rzeczy*,” szkice i rysunki krajobrazy—każda swojej strony ojczyste.

Uwieńczeniem dzieła miało być zgodzenie sługi przychodzącej na kilka godzin dziennie „*femme de ménage*.” Ale N I, studująca na wydziale historyczno-literackim, nie potrzebowała wychodzić z domu wcześniej, zatem miała wolne te godziny poranku, w których trzeba robić zakupy żywności, i zaproponowała, aby się obyć bez zbytku służącej, obiecując ją zastąpić w dziale intendentki domu i kucharki. Że żona stróża podjęła się pomocy pewnej, a mianowicie mycia naczyń, stanęło na tem — a układ ten oszczędził 66 cent. dziennie. Mleko i chleb przynoszono im co rano na górę regularnie przed siódmą godziną, a wstawano zimą i latem o 6-tej. Mleko płacono 30 centów za litr, i kupowano go dziennie za pół franka; bochenek chleba, ważący 2 kilogr., to jest nasze pięć funtów, starczył na dwa dni, co na dzień wypadało 70 centów. Nie jadano francuskiego pszennego chleba, bo się im prędko sprzykrzyło, ale żytni. Masło, jaja, mięso, jarzyny—kupowano na targu, bo w sklepach spożywczych wszystkie te przedmioty były droższe. Palono w pokojach koksem a w kuchni, która była jakiejś nowej konstrukcji—węglem drzewnym. Koks dawał „*Jadny ogień*,” ale trzeba go podniecać często drzewem, że przecież wypadało to drożej, kupowano w tym samym składzie gdzie koks tak zwane „*briquette*,” jest to w kształcie cegiełek kompozycja jakaś mialu węgla, której używano, aby mieć ogień dłużej trwający. Że nie było gdzie składać większych zasobów paliwa, wypadało kupować po jednym worku, dając za każdym razem, przynoszącemu skromne: „*pour boire*.” „Trzeba dać każdemu kto ci coś przynosi ze sklepu”—pisze N III—ale dodaje, że dość jest dać dwa lub trzy centy.

Obliczano koszt utrzymania co tydzień zapisywano i dopiero po roku dodano wszystko razem, następnie podzielono znowu wypadkową sumę na tygodnie, a potem na trzy równe części, i rezultat wykazał, że jedzenie, opał, światło, mycie naczyń, utrzymanie czystości w pomieszkaniu, noworoczna kolenda listonosza i stróża wyniosły tygodniowo 16 franków na każdą z trzech. Był to rezultat bardzo zadawalniający pod względem taniości i wygody, ale jak oszczędzano a zwłaszcza jak oszczędzano umiejętnie! Nieraz gotowano zupę na dwa dni i przygrzewano ją potem, a to dla oszczędności ognia; z tej samej przyczyny, że trzeba to było gotować dłużej, usunięto ze stołu jarzynki, ale dla względów higienicznych jedzono codziennie owoc jakiś. W Paryżu można dostać mało-co drożej, niż surowe—smażone a doskonałe kartofle, i inne gotowe już do jedzenia jarzyny, a także makaron włoski i pieczone kasztany, ale sklepów takich niema w okolicy Luxemburga. Trzebaby po to najbliższej już iść na Rue de Seine, co było dla młodych gospodyń rzeczą uciążliwą. I czas ich był drogi.

Rano pijano kawę z mlekiem, przegryzając chlebem z masłem; wychodzono na miasto o 8-mej, wracano o 12-tej na obiad, który składał się z kotletu wieprzowego, baraniego, czy cielęcego, czasami była pieczeń barania, czasami pularda, befsztyk ze smażoną cebulką, a wybierano zawsze potrawy „najposilniejsze w stosunku do wydanych na nie pieniędzy.” Do tego czasami zupa, a zawsze owoce na deser: w zimie jabłka i pomarańcze, w lecie „wyborne a tanie” poziomki lub czereśnie, czemu towarzyszył zawsze kie-

liszek wina: „*vin ordinaire*,” bo w Paryżu jest to nieodzowną potrzebą żołądka. Kupowano je z początku u najbliższego kupca korzennego, płaćąc 80 centów za butelkę, ale zwrócono się do wielkiego składu win na Bulwarach, gdzie zaopatrywano się we wszelkie towary kolonialne. Biorąc po dwanaście butelek, dostawano butelkę za 75 centów i wino o wiele było lepsze.

Wieczorem pijano herbatę, z jakimś kotletem, szynką lub jajami, rozmaicie gotowanymi, przyczem N III wniosła modę jajecznicę; niekiedy miewano miód lub jakąś owocową marmeladę, bo są to ulubione przysmaki Anglików.

Na zakończenie N III czyni uwagę, że „*Monsieur le concierge, et madame sa femme*,” są to w życiu lokatorów paryzkich osoby niepospolitej ważności. Zwykle ludzie usłużni i niezłego serca, są jednak niesłuchanie chciwi na pieniądze i uważają sobie, że każdy z lokatorów domu *powinien* im dać jakiś zarobek. Młode gospoście ofiarowały też 15 franków stróżowi, skoro tylko zajęły pomieszkanie i potem usiłowały zawsze być z nim i jego żoną na stopie przyjaźnej życzliwości. Stróż odbiera zawsze i przechowuje u siebie listy i wszystko, co dla lokatora przysłanem zostaje, stróż jest okiem właściciela domu i pewnego rodzaju argusem, śledzącym, jakie są tego lokatora stosunki i obyczaje?—co korespondentka nasza uważa nie tylko za rzecz słuszną, ale w warunkach paryzkiego życia za konieczną, aby ludzie uczciwi mogli tam mieszkając spokojnie i nie oddychać atmosferą pełną zabójczych miazmatów. Stróż załatwia też wszystkie sprawy lokatorów z policją, z właścicielem domu, a w zimie, gdy woda w wodociągach zamarza, staje się opatrnością, usuwając tę kłeskę. „Ciężko jest nosić sobie wodę na szóste piętro.”

Wogóle życie studentek paryzkich nie jest łatwym z wielu względów. Najpierwszym i najwyższym warunkiem jest, aby miały charakter silny i wyrobiony, myśl poważną i wielką czujność nad każdym krokiem swoim, bo grunt jest ślizgi, zwłaszcza dla cudzoziemek. Nie radzi osobom młodym próbować na nim pierwszych kroków w świat, szczególnie nie radzi puszczać się tam samotnie bez jakiegos pewnego listu rekomendacyjnego, bez jakiegos opiekuńczego stosunku—kogoś ze znajomych tak życzliwych, aby chciał i umiał dać potrzebne tu wskazówki i przestrogi szczegółowe.

Rachunek wyżej podany jest możliwie najoszczędniejszego życia, tak oszczędnego, że młode gospodynie nie tylko gotowały sobie same, ale i froterowały podłogę; a jednak takie utrzymanie wymaga rocznie więcej niż 500 rs. bez ubrania, prania, bez kosztów studyów, które też są niemałe.

Augusta.

NOWINY PARYZKIE.

(Dalszy ciąg).

Paryż, w Czerwcu 1886 r.

Uczony generał-dyplomata chiński Czeng-ki-Tong, autor dwóch zajmujących dzieł o społeczeństwie i o teatrze w Chinach, wystąpił w tych dniach z ciekawym odczytem publicznym, o literatach chińskich. Generał przebywa od dwunastu lat we Francji i władza wybornie językiem francuskim, jak tego dał dowód w pomienionych powyżej dziełach. Obdarzony szczegółnym darem wymowy i dowcipem, umie ożywić każdy przedmiot i zająć uwagę słuchaczy. W odczycie kreśli żywy obraz dwóch cywilizacji, wschodniej i zachodniej, pokazując odrębny ich charakter. Rozpoczyna rzecz wezwaniem Konfucjusza, wiekopomnego mędrca, który zalecał naukę cnotę i dobry humor.

„Chińczycy—mówi prelegent—od najgłębszej starożytności, lubili za przykładem tego prawodawcy naukę, literaturę i zabawy umysłowe. Zalecają to starożytne księgi, które są dla nich ja-

koby brewiarzem. Ich wielcy ludzie i ministrowie rozbudzają w nich miłość pracy i nauki. Mamy wszyscy wielkie zamięślanie rzeczy dawnych, przy nich lepiej rozumiemy czas obecny, mieliśmy niegdyś epokę nowożytną; był to czas prób i rewolucji. Dziś wierni jesteśmy instytucjom starożytnym. Lud wszystek myśli tak, jak my, a przynajmniej nie ma prawa myśleć inaczej.

„Uprawa nauk jest dla Chińczyka tradycją i religią. Ministerium wychowania publicznego zowie się u nas ministerium rytuałów. Urok wiedzy przetrwał dotychczas między nami, a z nim razem i wpływ uczonych. Jakóż literaci tworzą pierwszą klasę w narodzie, za nimi idą rolnicy, dalej przemysłowcy i kupcy. Literatura więc nie jest prostą rozrywką umysłową dla inteligentnego Chińczyka, ale daje mu prawa i zapewnia zaszczytne stanowisko pomiędzy współziomkami, z ludzi pióra tworzy szlachtę i dostojników. Być urzędnikiem: to najwyższy ideał, o jakim marzy Chińczyk. Literatura przysposabia ludzi do usług publicznych i toruje im drogę. Zaczawszy od podprefektów i gubernatorów, do wice-królów i dyplomatów, wszyscy mężowie stanu rekrutują się od wieków w klasie literackiej. Każdy zdobywa i zachowuje miejsce prawem talentu; stąd żarliwe współziewanie rozwija umysły na korzyść państwa. W Chinach małe pracowite dziecko patrzy na orszak ciągnący uroczyste ulicą; czerwone lub zielone parasole błyszczą mu przed oczyma.—„Patrz, mówi matka, prowadzą tryumfalnie ucznia, który został licencyatem.” „I ja będę się uczył, i mnie tak poprowadą—woła z radością mały Chińczyk.

Dalej generał Czeng-ki-Tong określa wychowanie w Chinach. Nauka dziecka rozpoczyna się wcześniej: wynajdują mu najpierw dobrą przewodniczkę, rozumną, skromną, wytrawną i milezącą. Są tam książeczki wskazujące nauczycielkom i matkom zasady pierwszego wychowania. Do dziesięciu lat dziecko zostaje pod opieką matki; uczy się przy niej słodczy i poszanowania starszych, co szczególnie zaleca Konfucusz. Gdy chłopiec skończył lat dziesięć, ojciec prowadzi go do profesora. Odbywa się to w sposób nadzwyczaj uroczysty. Professor kłęk, błaga w duchu Konfucjusza, aby mu dał światło potrzebne. Dziecię, ze swej strony, prosi mistrza, aby chciał być jego ojcem duchownym i przewodnikiem.

Wszystkie szkoły zostają pod protekcją Konfucjusza. Co do profesorów, są to, jak mówi generał, nieszczęśliwi kandydaci, którym nie udało się examini. Rzecz ciekawa, jakim sposobem ludzie niedouczeni, mogą wykształcać inteligencją dziecka? ale ci profesorowie posiadają wielką cnotę: cierpliwość, i wielką zasługę: poszanowanie tradycji.

Examina wogólności bardzo trudne powtarzają się trzy razy i nadają uczniom troiste stopnie nankowe. Pierwszy, to rodzaj bakalaureatu, ale bardzo skomplikowany. Na dwanaście tysięcy kandydatów dwustu rocznie otrzymuje dyplomy. Drugi stopień daje przywilej dojrzałości. Examini jeden po drugim następuje co trzy lata, a odbywa się nadzwyczaj ściśle. Aspirantów zamknięto do loży; wszelkie oszustwo ścigane jest z całą surowością prawa.

Po tym examiniu, młodzian pojmuje za żonę panienkę oddawna upatrzoną. Niewinna miłość nie odrywa ucznia od pracy: przeciwnie, dodaje mu bodźca i słodką kołysze go nadzieją. Po examinach następują publiczne zabawy. Władze szkolne głoszą imiona szczęśliwych kandydatów, wysłani gońcy roznoszą je po kraju. Strzały z armat i illuminacje wchodzą w program uroczystości.

Nakoniec examini trzeciego stopnia, na doktora, odbywa się co trzy lata w Pekinie. Jest oprócz tego inny jeszcze, dla wyjątkowych kandydatów; ten daje już tytuł akademika i wskazuje cesarzowi ludzi najznakomitszych na ministrów i dyplomatów.

Cały odczyt generała pokazuje: jak wysokie stanowisko zajmują literaci w Chinach i w jak wielkim poszanowaniu jest tam literatura, nie

tylko dla jej piękności, ale i dla pożytku, jaki przynosi. Od lat kilku prelegent widzi tam nadzwyczajny postęp w naukach ścisłych: zrozumieli na koniec Chińczycy, że potrzeba umieć budować mosty i rozważać je w razie potrzeby. Uczni i literaci czują, że w nich spoczywa przyszłość kraju.

Emil Zola pracuje obecnie nad nową powieścią p. t.: *Ziemia*; zamierza odmalować w niej lud wieśniaczy, zrosły niejako z ziemią, przywiązany do niej, jak do matki, która karmi go za życia, a przytula po śmierci. Sięgając najdawniejszych czasów, autor kreśli historyczny obraz ludu rolniczego we Francji, rozwój jego umysłowy, powolne przejście od stanu barbarzyństwa do wyższych pojęć, kiedy z niewolnika przykutego do gleby przyszedł do posiadania własności. Następnie autor pokazuje stan dzisiejszy włościanina, znaczenie jego w społeczeństwie, rolę polityczną, jaką odgrywa, przypuszczony do głosowania powszechnego, a zwłaszcza rolę, jaką musi odegrać w przyszłości, kiedy rozbudzi się całkiem z wiekowego uśpienia i przyjdzie do samopoznania własnej siły.

Powieść *Ziemia* ukaze się z końcem roku. Zola ma zamiar wziąć drogi żelazny za watek do nowej powieści, do której zbiera już skrzętnie materiały.

Sully Prudhomme wydał nowy tomik poezji pod tytułem *Le prisme*. Jest to zbiór malutkich okolicznościowych poematów, sonetów i ulotnych piosenek. Pierwszy to objaw życia od dwóch lat, kiedy poeta ustroił się w akademickie palmy. Książka pojawiła się parę dni temu; ocenienie jej zostawiamy na potem; dziś dajemy w przekładzie sonet pod tytułem: *Miłość zamordowana*.

Jak nędzarz, gdy mu serce goryczą wezbrało,
W własne dziecko rękoma godzi morderczemi,
Wykopie grób w nieznanym gdzieś zakątku ziemi,
Drgające życia szczątkiem pogrzebie w nim ciało.

Tak ja, gdy serce moje ogniem rozgorzało,
Zamordowałem miłość z jej czary słodkimi,
I grób jej przywaliłem płyty kamiennymi,
I zdumion mem zuchwalstwem, odszedłem nieśmiało.

Co widzę? — ona wiosną wybiegła z ukrycia,
Na grobie pół-otwartym stoi pełna życia,
Wśród wonnych bżów jej lica błysły mi jak zorze

Nieśmiertelnik nad białem zatknięty jej czołem,
— „Czym umarła?... patrz! — słówkiem zagadnie we-
[sołem—
„To złuda... ręka twoja mnie zabić nie może!”

Do niezliczonych zakładów dobroczynnych w Paryżu przybył w tych czasach jeden jeszcze: dom wypoczynku dla słabych matek z niemowlętami. Zakład ten, położony w ułogowej dzielnicy miasta, obejmuje dwa domy z obszernym w środku ogrodem. Jest w nim miejsce na 75 łóżek i kilkadziesiąt kołysek.

Sławny fizyolog Pasteur, powołany na prezesa w dniu inauguracji, rzewną mową poruszył do łez wszystkich.

„Wahałem się — rzekł — z przyjęciem wezwania waszego. Pół dnia spędzone za obrębem mego laboratorium: rzecz to niesłychana; myśl sama o tem dręczyła mnie, jakgdybym dopuścił się ciężkiego grzechu.

„A jednak, gdyście mi wyjaśnili, że w tym przytulku staną kołyski przy łóżkach biednych wyrobnic, że słabe matki znajdą tu ukrzepienie i troskliwą opiekę, a małe niemowlętko w progno życia nie spotka się z nędzą i cierpieniem, odrzuciłem na bok wszelkie względy, i stałem w pośrodku was, jako ojciec chrzestny pięknego zakładu waszego.

„Niech co chcą mówią pesymiści, musimy uznać, że nasz wiek tak spotwarzony, więcej, niż inne, ma na sercu dolę cierpiących i malutkich. Dano mu spełnić trzy wielkie dzieła: zwalczać chorobę, nędzę i ciemnotę.

„Na tem polu znikły graniczne kopce: nie pytamy nieszczęśliwego, w jakim kraju zrodzony. Mówimy mu: Ty cierpisz, to dosyć, naszym jesteś, przyniesiemy ci ulgę!”

Słusznie mówił Pasteur: Paryż okupuje tysiące win nieprzebranem swem miłosierdziem. Zpośród wielu stawiamy tu jeden przykład. Prassa tutejsza urządziła rozmaite zabawy w Ogródzie Tuilleryjskim, zakończone wielką kwiatoową w drugim dniu Zielonych Świątek. Zabawy te po odtrąceniu kosztów przyniosły ubogim 400,000 franków.

Jeśli nędza wielkiem jest nieszczęściem, to z drugiej strony wielkie bogactwo staje się niekiedy prawdziwą klęską. Nowy dowód na to znajdujemy w dziennikach amerykańskich. Trzej pierwsi bogacze w Nowym-Yorku, Vanderbilt, Astor i Gould, zmuszeni byli przed trzema laty ustanowić osobną policję, obowiązującą do czuwania nad ich osobami i własnością. Ta policja dniami i nocą odbywa patrol, luzując się co ośm godzin: rzecz ułatwiona przez to, że domy trzech rodzin są położone w jednej dzielnicy miasta. Pomyśl ten powziął Vanderbilt z powodu niezliczonych pogroźek, jakie z każdą odbierał pocztą.

Gould, król giełdy nowojorskiej, dalej jeszcze posuwa środki ostrożności. Eskortuje go nieustannie drab olbrzymiego wzrostu, fachimistrz z profesji, gotów powalić lub rozszarpać śmiało, coby mu zaszedł drogę. Nigdy Gould nie jeździ do biura własnym powozem, ani drogą żelazną, lecz najętym kabrioletem. Osobna straż czuwa zawsze naprzeciw jego drzwi; za dotknięciem elektrycznego dzwonka, siła zbrojna nadbiega w jednej chwili. Podczas ostatnich rozruchów robotniczych Gould był ofiarą prześladowania szczególnego rodzaju. Ilekroć wyszedł z domu, ulicznicy biegli naprzód i czerwonym ołówkiem kreślili na trotoarze obelżywe wyrazy. Życie milionerów w Ameryce prawdziwą jest męczarnią. W Europie rzeczy nie doszły do takiej ostateczności. Rotszyldowie, tak w Paryżu, jak w Wiedniu i w Londynie, chodzą spokojnie po ulicy, jeżdżą własnym powozem i nie trzymają osobnej milicji dla zabezpieczenia się od napaści.

(Dokończenie nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

— W dniu 29 zeszłego miesiąca, to jest w dniu Ś-go Piotra i Pawła w dzielnicy Warszawy, zwanej Koszykami, nastąpiło uroczyste poświęcenie kościoła, wzniesionego pod wezwaniem tychże Świętych, którego fundatorką jest s. p. Tekla Rapacka jak to opiewa napis widniejący nad podwojami głównego wejścia: „*Thekla Rapacka Fundatrix*” a w górze ponad tem mieści się płaskorzeźba, wyobrażająca sędziwą niewiastę, podającą Matce Bożej model kościoła. Zaczyna ta filantropka, znaną i szanowaną była przez całe miasto nasze dla wysokich cnót dobroczynności. Za życia jeszcze rozdała ona cały, znaczny swój majątek na różne miłosierne i obywatelskie cele, zadawałniąjąc się sama skromnym bardzo bytem na oddalonej, Powiśla blizkiej, ulicy Oboźnej. Nowszej części Warszawy brakowało Domu Bożego, pobożna pani chcąc brak ten usunąć, dała na wybudowanie parafialnego kościoła dla Koszyków 82,300 rs. Ze przeciw kosztorys wykazywał sumę wyższą, trzeba było to dozbierać ze składek, wśród których mieści się dar hr. Augustowej Potockiej z Wilanowa: 5,000 rs. i 22,000 rs. osoby bezimiennej, w której publiczność przypuszcza kobietę. Razem zebrano rs. 129,093, ponieważ budowa kosztowała 141,731 rs. cięży tu dług 12,673 rs. a prócz tego są jeszcze potrzeby znaczne na wewnętrzne urządzenie kościoła, jakkolwiek i na ten cel złożono przeszło 10,000 rs. a prócz tego wiele osób wzięło na siebie koszt wzniesienia pojedynczych ołtarzy

i kaplic; jest między innemi kaplica fundacyi generałowej Kisielewskiej, kapliczka fundacyi p. Maryi Mylowej.

— Według sprawozdania dyrekcji Muzeum Pszczelniczego na Koszykach zakład ten udzielił przez czas trwania przy tymże Muzeum szkoły pszczelniczej świadectw wykwalifikowanej znajomości pszczelarstwa 92 kobietom (mężczyzn 110). Obecnie znajduje się tam na nauce 44 kobiet (63 mężczyzn). Wiemy już o dwóch uczennicach muzeum prowadzących na swoją rękę naukę pszczelarstwa: p. Maculewiczówna na Litwie we wsi Dziewałkowi, i w Królestwie p. Zarębianka we wsi jej ojca.

— *Kurjer Warszawski*, opierając się na wiadomości powyższej z kanonu stręczenia nauczycielek, donosi, że przy bardzo zmniejszonych żądaniach bon niemieckiego pochodzenia otworzyło się wiele miejsc dla bon rodaczek. Ta gałąź pracy kobiecej powinna być całkowicie przez kobietę naszą zajęta i chodzi tylko, aby znalazły się osobistości odpowiednio uzdolnione. Powstajemy bardzo silnie przeciw nauce obcego języka u dzieci przed skończeniem lat siedmiu, bo nauka ta wysila je i wykołaja naturalny rozwój umysłowych władz dziecka. Z wierzchu — jeżeli się tak wyrazić można — nie daje się to poznać; dziecko nie mizernieje, ani słabnie — rodzice widzą przytem rezultat tego, co dziecko przez nabycie jakiegoś języka pod względem edukacyjnym zyskuje, ale nie wiedzą, co traci ono na inteligencji — gruncie podstawowym wszelkiej nauki. Dziecko zbyt pracuje pamięcią, ucząc się w tak młodziuchnym wieku dwóch naraz języków, bo uczy się ono wtedy i własnego, zdobywając sobie coraz to większy zapas wyrazów, przy kolejnem poznawaniu coraz to więcej przedmiotów, oraz wyrażen, malujących pojęcia dla niego nowe, bo teraz dopiero po uwagę mu podpadające. Podwójny więc ciężar dźwiga ono pamięciowo, przez co pamięć przeważnie się rozwija, kosztem władz umysłu innych, jak spostrzegawczości, uwagi, rozbudzającej się zdolności myślenia, przerabiania w myśli wrażeń doznanych. Wszystko to już się w dziecińcu małej odbywa: już kielkuje i w górę się dźwiga, lecz może za głębionem zostać, jeżeli zmusimy umysł młody do zbyt ciężkiego, bo przedwczesnego, w okresie tym ćwiczenia pamięci. Bywają bardzo zdolni ludzie i z tych, których tak chowano, ale są zdolności nad zdolnościami, i szkody nikt tu dokładnie wykazać nie może, bo się odbyła w niewidzialnej głębi umysłowości człowieka. Znajomość języków jest bardzo potrzebna tym, którzy wyższe wykształcenie osiągnąć pragną — ale nie można jej nabywać kosztem rzeczy cenniejszych. Od siedmiu dopiero lat dziecko może uczyć się mowy obcej; wedle zdania pedagogów, od tego roku do lat 12, najłatwiej mu to przychodzi, zatem zostaje jeszcze dość czasu na naukę ową, w której przecież nigdy przesadzać nie należy, dla względów wyżej przytoczonych nie absorbowania prze ważnie umysłu przez pracę pamięciową.

Nie znaczy to przecież bynajmniej, aby bona tylko własny język znać miała. Z powodu, że bardzo znaczna liczba rodziców tego dla dzieci swych chce, z powodu, aby w konkurencji z bonami obcymi zwyciężyć, powinny się bony starać o dobre, płynne mówienie jakimś obcym językiem. Bogu dzięki, że przynajmniej przy nauce niemieckiego nikt się nie ubiega o wymowę taką, któraby aż pochodzenie narodowościowe maskowała. Język to nauki i literatury, wreszcie język podróży po krajach tak cywilizowanych, że nie uważają tego człowiekowi za ujmę, gdy obcą mową, jak rodowitą, nie mówi — więc Niemkę przynajmniej może zastąpić bona nasza, odpowiednio ukształcona — może i powinna i żądać trzeba od rodziców, aby zastąpiła.

Łatwość wprawy w dobre mówienie poniemiecku jest u nas wielką. Mamy Niemców, niemieckich rodzin aż zanadto, i przy średnich kosztach, przy niewielkim zachodzie mogą się bony nasze wprawić w bardzo czystą i poprawną niemieczną. Ale trzeba i ten koszt jakiś, i jakiś zachód ponieść, bo z niczego niema nic.

— Ciężką szkodą dla specjalnie fachowego kształcenia się kobiety naszej, jest zamknięcie

przez władze pruskie gospodarczej szkoły kobiet w Kórniku, przez generałową Zamojską utrzymywanej.

— W korespondencji z Ameryki polskiego emigranta Grotkowskiego znajdują się ciekawe spostrzeżenia nad tak zwaną emancypacją kobiet. Że Amerykanka w dziedzinie obyczajów, w stosunkach towarzyskich, wyemancypowała się zupełnie z jakiegokolwiek zależności od mężczyzny, to rzecz pewna i ogólnie wiadoma; ale cudzoziemiec, więc zwykle spostrzegacz bystry, bo przyzwyczajenie nie stepiło jego wzroku na to, co jest w obserwowanym społeczeństwie nietylko kantem ostrym, ale wypukłością rzeczywistości ważną—spostreżę, że poza tą sferą emancypacji Amerykanki nie idzie wcale tak daleko, jak sądzić-by można z hałasu, czynionego przez garsć pewną kobiet tamtejszych. Układ Amerykanki niezmiernie swobodny, brak form pewnych, które się w pojęciu Europejczyka z zachowaniem kobiety łączyć muszą, brak zwłaszcza kobiecej delikatności uczuć w Amerykance, zwoździ przybysza, zanim w społeczeństwo amerykańskie się wżyje. Zajmują Amerykanki wiele urzędów rządowych, zwłaszcza w skarbowości, w zarządzie poczt, ale urzędy to zwykle niższe i nikt nie widział tam kobiety na jakimś wyższym i kierowniczym stanowisku. Przy szeroko rozwiniętym przemyśle i handlu, przy wielkiej przedsiębiorczości Amerykanina i rozległym polu działania w tym kierunku, brak jest zdolnych mężczyzn, chcących wegetować na małych, niewysoko płatnych urzędach i wobec tych kandydatów, jacy-by się do nich zgłaszać mogli, rząd woli je powierzać odpowiednio wykształconym kobietom, które zadawalniają się tem położeniem swoim i szanują je. Jest kilka kobiet adwokatów, jest spora porcja mówczyń, hałasujących nie mniej, ani więcej, jak hałasowałyby Ludwika Michel lub Hubertyna Auclet, gdyby za to, jak w Ameryce, nie szło się do kozy — ale poza tem wszystko jest tak prawie, jak u nas, bo i owe krzykliwe głośnie zebrania dla rozpraw nad prawem kobiecym, owe sejmy kobiece, o których echo do Europy dochodzi, to więcej pozor rzeczy, niż rzecz, bo zawsze tak mówczyń, ich adherentki i adherenci, jak publiczność, do której się przemawia, jedna jest i tasama.

Co do politycznego równouprawnienia kobiety, zdobyło ono sobie nieco gruntu nie w tej przecież Ameryce, która jest światem ucywilizowanym, nie w jej Stanach zorganizowanych już porządnie i należycie zaludnionych, ale na Terytoryach, więc ledwo dla człowieka rasy białej otwartych pustyniach. Prawo kobiecego głosowania wnieśli do Terytoryum Utah apostołowie Mormonizmu, aby oszołomione istoty głosowaniem swoim wzmocniały właśnie ucisk i upodlenie kobiety, które wszędzie towarzyszy i towarzyszyć musi wielożństwu. Na Terytoryum Wyoming, kobiety mają także prawo głosowania, lecz prawie zawsze kobieta głosuje tam tak, jak jej mąż, ojciec, brat, i jest to tylko rozszerzony do rodzinnego koncertu głos męzki, co nawet wywarło w Nowym Yorku ochładzający wpływ na stronników równouprawnienia kobiety przy urnie wyborczej. Wogóle wyborczynie z Wyoming nie zaznaczyły się wcale jakimś szczególnym polotem myśli i szczęśliwym dążeniem postępowym, bo też i pole to mało temu sprzyjające.

Najwyższą zdobyczą kobiety we właściwych Stanach Zjednoczonych jest to, że w niektórych Stanach głosują na wyborach do zarządu szkolnego. Ale nawet w Massachusetts—w tem miejscu najstarszej w Ameryce cywilizacji, udział ich w tym przyznaniem im prawie jest w stosun-

ku do wyborców męzkich znacznie mniejszym, jak znacznie mniejszą jest ilość członków kobiecych w radach wychowawczych. Prawa tego używa od lat kilkunastu i Angielka zupełnie z takiemsamem powodzeniem. Kilkanaście kobiet, mniej więcej zawsze tychsamych—kilkanaście przez naród wyżej szanowanych i znanych myślicielek w kierunku edukacji, wchodzi do Schoolboard'ów tamtejszych.

Grotkowski przytacza co pisze o politycznem uprawnieniu kobiet „najrozumniejsza,” najwyżej przez społeczeństwo tamtejsze ceniona osobistość kobiega, Abigail Dodge, pisarka używająca męskiego pseudonimu: Gail Hamilton: „Kwestya głosowania kobiety jest sztuczną; trudności podtrzymywania jej są wielkie—tak wielkie, jak naodwrot trudno było niegdys kwestya emancypacji Murzynów przydusić. Żadne mowy i zebrania, żadna książka i nawet nadane już prawo, nie porusza dla niej duchów, a to z tej prostej przyczyny, że kobiecie bez tego prawa nie dzieje się jeszcze krzywda żadna. Pojedyncze kobiety cierpią wprawdzie to tu, to tam, ale mężczyźni cywilizują się i wskutek tego ulepszają się, uduchowiają coraz i ztąd w podniosłej urzędzonym społeczeństwie, musi nastąpić postęp ku dobremu. Kobieta, jeżeli dziś ucisk znosi, to nie przez złą chęć mężczyzny, szczególnie ku niej zwróconą, ale przez surowe, grube strony jego niewykształconej natury ludzkiej, która zawsze gniesć będzie stronę słabszą. Niech ogół praw zasłoni przed tem społeczeństwo, niech go go moralnie do ich przyjęcia usposobi, a nie będzie potrzeba praw wyjątkowych dla kobiety.”

„Co zaś wręcz do równouprawnienia politycznego kobiety — do dania jej głosu w prawodawczym zgromadzeniu, to nie posiadała go dotąd dla tego, że w większości ogółu swego nie pragnie go posiadać. Gdyby pragnęła—otrzymałaby niewątpliwie. Niezmierna większość kobiet dla tego pożądań owego prawa nie ma, bo nie cierpi nad tem, iż go jej nie dają i skoro brak ten uczutym zostanie, i prawo też otrzymanem będzie. Znacznie większe niebezpieczeństwo tkwi w tem, że go (przez forsowne opinii tumanienie) może otrzymać, zanim pożąda, niż żeby go nie otrzymała, pragnąc nawet.”

MĄDROŚĆ I GLUPSTWO.

(Z Jokay'a: „Przez czterdzieści lat“).

— Prawo i siła sprawują niewątpliwie mocny rząd nad światem, przecież uczucie moralne jest i będzie zawsze najsilniejszą dla człowieka potęgą.

— Ach! gdyby umarli mogli mówić... Może i mówią, tylko my ich nie słyszymy...

— Skoczyć w wodę, jest nieraz czynem bohaterskim, ale w błoto—nigdy!

— Przyjacieli, któregoś obraził, może ci przebaczyć; w kochance zawiedzionej możesz jeszcze ufność wzbudzić; ale nie przejednasz sobie nigdy tego, dla kogoś był raz straszliwym.

— Rozmaite są u różnych ludów kolory załoby. Dla Europejczyka, jest nim czarny, dla Chińczyka żółty, Hebrajczyk rozdziera w boleści szaty swoje, ale mędrzec smuci się tylko w sercu.

— Kto sobie w świecie miejsca znaleźć nie może, ucieka w głąb siebie.

— Kto żyje dla teraźniejszości, żyje dla przyszłości.

— Najszacowniejszą jest kobieta, która wo-

bec wroga stawia się jak mąż, a dla ukochanego jest całkowicie kobietą.

— Turczynka, w której nie ma być duszy, jest jak kwiat — skoro trochę przywiednie, już nie wart nic. Lekki dymek woni uszedł i nie został śladu.

— Koń jest wtedy dobrym, gdy jest podobnym do dobrej kobiety: gdy może z wierności dla swego jeźdźcy nie jeść, nie pić, nie spać, i ostatni dech dobywając, odnieść go zranionego z pola walki do domu.

— Kobieta nie może znieść chłodu serca. Nie marznij też pod biegunem północnym i jest tam wytrzymalszą od mężczyzny, ale gdy spotyka chłód serca, odczuwa to natychmiast i cierpi ciężiej, niż mężczyzna.

— Oszukujący czar ściąga gwiazdy z nieba na ziemię. Nie wiedzą, że ta, która spadnie, nie jest już gwiazdą—bo nie świeci.

— Kto się chce dostać do nieba, musi tam mieć gwiazdę swoją, bo maczej, jakżeby sobie znalazł drogę przez błękity? Trzeba najpierw nauczyć się podnoszenia wzroku wzwyż; trzeba czuć tęsknotę wysokości.

— Najgorszym komplementem, jaki może spotkać człowieka ze strony Boga, jest to, gdy mu na loteryi wygrać pozwoli. Jest to, jakgdyby Przedwieczny rzekł: — Ośle! nie mogłem cię niczem na inny sposób obdarować, bo nie jesteś ani dość pracowitym, abys sobie coś zarobił, ani dość mądrym, abys coś pozyskał, ani dość dzielny, abys zdobył. Dla tego też niech żaden człowiek nieupodlony na ducha nigdy na loteryę nie stawia, bo Bóg mu odpowie. — Cóż to... czym ci nie dał rozumu, talentu, geniuszu? Szczęście losu na chybił trafił, musiałem zostawić głupcom.

— Czy ubóstwo jest to jakiś wielki wstyd, bo bardzo często ludzie albo się z nim kryją, albo kryją się przed ludźmi sami, skoro biednymi zostaną i tak unikają dawnych znajomych, tak się lekają ich widzieć, spotkać się z nimi, jakgdyby popełnili coś najgorszego. Można by przypuścić, że osoby tak czujące, cenią najwyżej złoto i uważają je za największy zaszczyt, najpiękniejszą godność człowieka. Mnie, kiedy między ludzi idę, nie przychodzi nigdy do głowy, czy są bogaci, lub ubodzy, bo nie mam nic do czynienia z ich kieszeniami. Myślałbym o tem wtedy chyba, gdybym chciał coś od nich kupować, lub coś im sprzedawać.

— Utrzymują, że złoto jest wszechpotężne; a ile też miłości można sobie za nie nabyć? Fałszywego, kłamanego jej objawu: zwodniczej, karygodnej namiętności, dostaniesz dość, ale miłości prawdziwej, wiernej, szczęśliwej i która za równo uszczęśliwi ciebie—ani szczypty.

— Kto dziś ćwierć miliona za to bierze, że swój obowiązek spełnia, jutro za półmiliona w służbę każdego pójdzie, a pojutrze duszę i brać swoją za cały milion sprzeda.

— Brylant jest w stroju bogatego blaskiem i możności jego obrazem; gdy go nosi ubogi, można powiedzieć, że wystawia fałszywy szyld, bo choćby kamień był prawdziwy, to użytym został, aby fałszywie świadczył o tem, czego nie posiada jego właściciel.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczo* dołącza się arkusz 5-ty i 6-ty powieści pod tytułem: **Bez miłości** przez Florencją Marryat.

TREŚĆ. Rok szkolny, przez M. Illicką. — Odpowiedź poezya. — Kartka z pamiętników poety, (dalszy ciąg), przez Szczęsną. — Boży gniew, powieść (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Życie studentek paryzkich. — Nowiny paryzkie, (dalszy ciąg). — Kronika działalności kobiecej. — Mądrość i głupstwo.

Dodatek obejmuje: Arkusz 5-ty i 6-ty powieści pod tytułem: **Bez miłości**, przez Florencję Marryat. — Przegląd mód. — 28 wzorów ubiorów robot wraz z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycja stołu.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 25 Іюня 1886 года.